Rok VI[ty]. Nr. 14.

Szkółka  niedzielna

Módl się i pracuy, a będziesz szczęśliwym.

Leszno. — *Niedziela pierwsza po Wielkiéynocy,* dnia 3. Kwietnia 1842.

Religia.

Lot ocalony.

Lot, synowiec Abrahama, a syn Natora, po śmierci oyca i dziada swego Tare, bawił się przy Abrahamie. Gdy lat dorosł, wypuścił go Abraham z opieki swoiéy i oddał mu do zarządu wszystko, co po oycu iego zostało: ruchomości, bydło i pieniądze. I błogosławił Bóg obudwom, i rosła ich maiętność tak, że trudno im było na iedném pozostawać mieyscu, ile że i słudzy ich, pasterze, swarzyć się z sobą poczęli o pastwiska. Abraham boiąc się, aby ztąd między nim a synowcem nieprzyiaźn iaka nie urosła, radził Lotowi, aby osobno mieszkał i dla swego dobytku osobną obrał sobie stronę. Ieźli póydziesz, mówił do niego, w lewą, ia w prawą; ieźli ty w prawą, to ia się w lewą puszczę. Usłuchał Lot rady stryia swego, acz mu żal było tak miłego i potrzebnego przyiaciela i prawie oyca na oczu nie mieć, i obrał sobie mieysce nad rzeką Iordanem, około miast Sodomy i Gomory, urodzayne, piękne i w paszę obfite, tém się ciesząc, że się mieyscem, a nie sercem od siebie oddalali. Z początku mieszkał sobie pod namiotem wśród trzód swoich, późniéy iednakże okupił się w Sodomie i tam przemieszkiwał. Mieszkańcy tego miasta wylali się byli na wszelką rozpustę. Sam tylko Lot między nimi prowadził życie skromne, pobożne i wstrzemięźliwe. Oni przecie zamiast brać z niego przykład, co raz to głębiéy zanurzali się w swoich bezprawiach. Dopuścił Bóg na Sodomę i pobliskie miasta, również popsute, woynę, aby tą klęską przyciśnione, upamiętały się. Spalił nieprzyiaciel ich domy i wielu bardzo w niewolę zabrał, a między tymi i Lota. Abraham dowiedziawszy się o tém, zebrał, co mógł, woyska, i pociągnął ku oswobodzeniu onegóż. Bóg pobłogosławił wyprawie Abrahama. Lot i zabrani mieszkańcy miast odzyskali wolność. Cóż potém, kiedy iéy na złe użyli, niepowściągliwe iak dawniéy prowadząc życie. Dla tego postanowił Pan Bóg Sodomę i pobliskie miasta straszliwą plagą ukarać. Oznaymił to iednak przódy Abrahamowi, mówiąc do niego: Nie zataię przed Tobą Abrahamie, co czynić mam, bo ty masz być oycem mocnego i wielkiego narodu, i z ciebie wszystkie pokolenia ubłogosławione być maią, i wiem, że synom to twoim podasz, i nauczysz potomstwa twego, aby strzegli drogi pańskiéy, a czynili sprawiedliwość i sąd, aby dla Abrahama ziścił im Pan Bóg to, co iemu obiecał. Iakoby rzekł, mówi Skarga, (którego słowy rzecz tę opisuię); i ty na srogie i niesłychane karanie Sodomczyków patrzeć

będziesz; umiéyże nauczać dziatek swoich, aby się bały Pana Boga, a takiego gniewu Iego uchodziły: a ieżeli pragną to mieć, co im przez cię obiecał, niechże naśladuią cnót twoich. Otóż chce Bóg, abyśmy z karania innych naukę i przestrogę brali. Tedy Abraham użałował się zguby ludzi onych i wstawiał się za nimi u Pana Boga; a nie maiąc ich z czego innego zalecać, rzekł: Wzdyć nie wszystko tam złe miły Panie; być nie może, aby też tam dobrzy nie byli. Ieżeli znaydziesz pięćdziesięciu dobrych, izali dla nich wszystkim nie przepuścisz? I rzekł mu Pan Bóg: Ieżeli znaydę pięćdziesiąt sprawiedliwych w Sodomie, wszystkim przepuszczę dla nich. I Abraham rzekł: A ieżeliby pięciu mniéy nalazło się dobrych, izali zgubisz wszystko miasto? Odpowiedział Pan Bóg: Nie zgubię. Targował się potém Abraham z Panem Bogiem o uratowanie miast owych, umykaiąc po dziesięciu. A Pan Bóg i na dwudziestu iuż przestawał. Nakoniec rzekł Abraham: A ieźli się tylko dziesięciu dobrych znaydzie? A Pan Bóg odpowiedział: I dla dziesięciu dobrych nie zatracę ich. Daléy iuż nie śmiał wstawiać się Abraham, bo iemu samemu nieznośna było, w tak wielkiéy liczbie ludzi i dziesięciu dobrych nie znaleść. Gdy tedy odmienić się sroga kaźń Boża na nie nie mogła, przyszli dway Aniołowie do Sodomy, a Lot w bramie mieyskiéy siedział, czekaiąc gościa iakiego, aby go dla miłości Boga w dom swóy przyiął, a od złości ludzi onych obronił. Skoro uyrzał Anioły Lot, maiąc ich za ludzi podróżnych, pokłonił się im nisko i ofiarował dom swóy na gospodę. A oni nie chcieli, mówiąc: Zostaniem tu na ulicy. Ale Lot prawie ie przymusił; i weszli w dom iego, i uczynił dobrą wieczerzę i napiekł dla nich kołaczów. Po wieczerzy, nim się spać pokładli, Sodomczykowie otoczyli dom Lota, młodzi i starzy, i domagali się gości, aby ie zesromocili. Lot zamknąwszy drzwi, wyszedł do nich i prosił, aby tego nie czynili. Oni zaś grozić mu zaczęli. Rzekł więc do nich: Nie czyńcie, proszę, bracia moi, nie czyńcie téy złości; wszystko wam oddam, nawet niezamężne córki moie, a nie czyńcie nic złego gościom moim; bo weszli pod cienie dachu moiego, dla tego świętymi są dla mnie, i być dla was powinni. Lecz zapamiętały tłum wołał: Nie dawno przybyłeś do nas, a iuż nam chcesz dawać nauki? I rzucili się na Lota. Ale Aniołowie wyszedłszy z domu, uratowali Lota, wprowadziwszy go nazad, a tłuszczę owę ukarali ślepotą od naymnieyszego aż do naywiększego, tak, iż drzwi naleść nie mogli. I po tym cudownym czynie poznał Lot, że to byli Aniołowie. Ci zaś rzekli do niego: Masz tu kogo z swoich, zięcia, abo syny, abo córki; wszystkie, którzy są twoi, wyprowadź z miasta tego, bo iuż dopełniło miary złości swoich i Bóg nam ie zgładzić rozkazał. Wyszedłszy tedy Lot, zachęcał swoich przyszłych zięciów, aby opuścili miasto, bo ie Pan Bóg zatraci; uważali to przecie za żart i nie usłuchali go. A gdy świtać zaczęło, uięli Aniołowie za rękę ociągaiącego się Lota i żonę i córki ich, i wywiedli za miasto, i tam mówili do niego: Zachoway duszę twoię, nie oglądaj się, ani staway, ale uciekay na górę czém prędzéy; a on rzekł: Ponieważ znalazłem łaskę i miłosierdzie u ciebie, wysłuchay mnie ieszcze. Na górę uciekać się boię, aby tam co złego mi się nie stało. Iest tu w bliskości miasteczko, tam się schronię, ieźli dla mnie będzie bezpieczne. I zezwolił Anioł pański na to, i o wschodzie słońca stanął Lot w niém. Wtedy Pan Bóg spuścił deszcz siarczysty i ogień na Sodomę i Gomorę, i zniszczone zostały te miasta z całą w około krainą, ze wszystkimi mieszkańcami i ze wszystkiem, co się zieleni na ziemi. A Abraham stanąwszy rano na mieyscu, gdzie pierwéy stał z Panem, uyrzał na mieyscu miast onych lecący w górę pérz z ziemi, iako dym z pieca. Całe to mieysce rozkoszne zamieniło się w iezioro soli i do dziś dnia nosi nazwisko Solnego morza, morza śmierci, przypominaiąc srogość występków rozwiozłości i karę za nie. Żona Lota, która się ociągaiąc wychodząc z miasta, oglądała za siebie, w słup soli zamienioną została. Lot opuścił późniéy miasto schronienia swego, które Segor nazywano, i udał się na górę, na któréy nayprzód miał się schować, i tam z córkami swemi przemieszkiwał.

Rozmaitości.

Antek od Gostynia.

Ieszcze słońce nie wstało, tylko zorza coraz żywszą stroyna barwą oznaymiała o iego bliskiém przybyciu, a iuż młody Antek wybierał się z swéy ubogiéy chatki.

Wziął kosę na plecy, założył osełkę za swóy pas skórzany, włożył do kobiałki kawał chleba i séra i wyszedł spiesznym krokiem. Kilka promieni słońca zawitało na ziemię, pozłociło drzewa, rozweseliło łąki i pobudziło żółte i niebieskie motyle i polne koniki, które przeglądaiąc się w porannéy rosie, wesoło brzęczeć zaczęły. Tu pracowita pszczółka iuż ulatuie z kwiatka na kwiatek i wykrada im woń i słodycz; tam iaskółka po nad rzeką różne swym lotem oznacza kręgi, lub się wzbiie do góry w bok i na dół, a tak szybko, że ledwo dostrzedz można tych wszystkich iéy obrotów, a w powietrzu rozchodzi się miły zapach od niezliczonych i różno-barwnych kwiatów. Nasz Antek iednak nie zważał wcale na te piękności świata, szedł posępnie, zdaie się, że nawet łzą zaszło czarne oko iego, i myślał — myślał o Kasi. „O Boże! czemu ia taki biedny; rodzice Kasi nigdy nie pozwolą, aby ona moią była; oni zamożni, chcą zamożnego; wszakże ieszcze przeszłéy niedzieli mówił oyciec w karczmie do Woyciecha: „co mnie po takim zięciu, co nie ma nawet za co pary wołów kupić; to źle tylko, że dziewczynie głupstwa się roią po głowie: ale iakem Sobek nic z tego nie będzie.“ Nie będzie; a to dla czego, kiedy się kochamy, kiedy on może nam dać zapomogę, a iabym pracował od świtu do nocy? Otóż Sobek mówi, że nic z tego nie będzie, a ia mówię, że będzie; zobaczemy!“ — Tak rozmyślaiąc, podniósłszy nagle głowę, uyrzał przed sobą kształtną kibić Kasi, która idąc przed nim nie spostrzegła go ieszcze. „Kasiu!“ zawołał z żywością, „dzień dobry!“ — „„Dzień dobry, Antku! a gdzie to idziesz?““ — „Do dworu skosić dziedziniec u naszéy Pani. Iu‹›va przeszłego tygodnia dostał złoty za skoszenie tegoż dziedzińca samemi troiakami, w papier zawiniętemi; to dobra Pani! może i mnie to samo się dostanie, a wtedy taką wstążkę wpleciesz w twe warkocze, iakiéy żadna dziewka w całéy wsi nie ma.“ — „„Nie Antku!““ przerwała Kasia, „„ani wstążki, ani ciebie widzieć nie chcę; chcę, ale nie mogę; rodzice zabronili, a Bóg rodziców słuchać każe. Antku! ia ciebie zawsze kochać będę, nigdy za inszego parobka nie póydę!““ To mówiąc, raz ieszcze smutnie spoyrzała na niego i mimowolnie oddalać się zaczęła. Antek stał iak wryty; myślałby kto, że skamieniał; tak go przeraziły słowa Kasi. Długo ieszcze za nią pozierał, aż gdy mu znikła z oczu, załamał ręce z rozpaczą i łzy puściły mu się iak dziecku; długo szedł tak zamyślony, aż na widok dworu o piętrze z pięknym ogrodem, obudził się iak ze snu, obtarł oczy ze wstydem i poszedł na dziedziniec. We dworze cicho, okiennice zamknięte, śpią ieszcze prawie wszyscy, czasem tylko chłopiec kredensowy wyskoczy przez okno i zbiera trochę miałkiéy cegły do chędożenia noży. Antek wziął się do koszenia. Pada trawka równiutko ścięta i ściele się równemi pasami pod nogi kosarza; nareszcie cały dziedziniec skończywszy, wziął grabie i na ieden duży kopiec wszystko zgromadził. Wstała wreszcie i Pani, pochwaliła robotę Antka i kazawszy mu podać kieliszek wódki, oddała mu sama w papier zawinięty złoty. Oy gdyby to było w innym dniu, toby Antek z radości do góry podskoczył, że za parę godzin tyle zarobił, ale teraz wziąwszy pieniądze, cicho i smutno do chaty wraca. „Po co mi to“, myśli sobie, „kiedy nie dla Kasi, kiedy ia iéy nigdy mieć nie będę!“ Oddarł iednak papier, by policzyć troiaki, aż tu wysypały mu się w rękę

złote pieniądze. „Cóż to iest!“ zawołał z zadziwieniem; przetarł oczy i znowu patrzy; tak, złoto, same dukaty; liczy Antek, dwadzieścia ich iest. „Widać,“ mówi, „że Pani się omyliła, i zamiast miedzi zawinęła w papier złoto. Czemuż te pieniądze nie moie, byłoby za co parę wołów kupić i wesele sobie sprawić! byłbym szczęśliwy na całe życie!“ I to mówiąc, obracał ciągle dukaty, drapiąc się w głowę. „Ale czemuż nie mogą być moie?“ zawołał nareszcie, i obeyrzał się na około. „Nikt mnie nie widzi, nikt się nie dowie; Pani może się nie spostrzeże, że iéy brakuie pieniędzy; a choćby się spostrzegła i posądzenie padło na mnie, to się zaprę; a nikomu nic o tém nie powiem; iutro iarmark w Punicu, kupię sobie zaraz woły; a iak ludzie spytaią, zkąd pieniądze, to powiem, żem ie w ziemi znalazł, albo nic nie powiem. Tak, tak, będę bogatym, szczęśliwym; nikt mię nie słyszy, nie widzi.“ Właśnie gdy tych ostatnich słów domawiał, nie patrząc przed sobą, uderzył się w głowę o krzyż stojący z boku drogi — spoyrzał. „Nikt mię nie słyszy, nie widzi; cóż ia mówię nierozsądny; a tenże Bóg, który na takim krzyżu za nasze grzechy wisiał, czyż mię nie widzi? możeż się gdzie przed Nim schować? O Boże! zdaie mi się, że odnawiam Twoie święte rany temi niegodnemi zamiarami, na które mnie zły duch naprowadził; o nieszczęsna godzino, w któréy podobne myśli powziąłem! Ty mnie karmisz, odziewasz, kochasz. Tyś dla mnie cierpiał, a ia miałbym Cię zdradzać! O Boże! dziękuię Ci, żeś mnie w czas ieszcze oświecił; przepraszam, żem Cię śmiał obrazić!“ I padł Antek na kolana, wzniósł oczy, krzyż zdał mu się iaśnieć iakby słońce, wpatrywał się weń z miłością i długo się modlił. — Nazaiutrz koło południa wielki krzyk i gwar przed dworem; słychać tłum groźnych głosów, a wszyscy obstępuią iakiegoś człowieka i pokazuią go sobie ze wzgardą. Był to dudziarz i razem kowal, który maiąc robotę we dworze, posądzony został o skradzenie dwudziestu dukatów, których brakowało w szkatułce Pani. Zewsząd mówili: „oto ten gałgan, co okradł naszę Panią i ieszcze nie chce się przyznać do winy, ale niech go tylko w iakiém więzieniu przetrzymaią parę miesięcy o suchym chlebie i wodzie, to wszystko wyśpiewa.“ Dudziarz się przysięgał, wzywał Boga na świadka, iako iest niewinnym, błagał o litość, ieżeli nie dla niego, to dla żony i czworga dzieci; ale nikt go ani słucha; iuż go związali i wyprowadzaią z bramy, gdy Antek cały zadyszany przybiegał do dworu. „Zatrzymaycie się!“ zawołał z całych sił; „ten człowiek niewinny; oto są pańskie pieniądze.“ Cały tłum zatrzymał się zdziwiony, dudziarz z niewymowną wdzięcznością spoyrzał na Antka, iako na zbawcę swoiego, a tenże przybiegłszy do Pani, opowiedział iéy omyłkę i oddał pieniądze. Uradowana Pani naprzód kazała wrócić wolność dudziarzowi i wynagrodziła wyrządzoną mu krzywdę, a późniéy zawoławszy Antka i pochwaliwszy przy wszystkich ludziach iego sumienność i uczciwość, darowała mu te dwadzieścia dukatów, które iéy był odniósł, mówiąc: „Niech to będzie dowodem, że nigdy prawdziwa uczciwość nie zostaie bez nagrody.“

We dwie niedziele potém, nastąpiło wesele Antka i Kasi; wszyscy byli weseli, szczęśliwi, a dudziarz tak grał i śpiewał wesoło, że dotąd ieszcze mile wspominaią w całéy wsi wesele Antka i Kasi.